

W Wigilię Bożego Narodzenia większość ludzi rozpakowuje prezenty, lepi pierogi, ubiera odświętne i eleganckie ubrania albo kłóci się z rodziną o politykę przy barszczu i kapuście z grochem, zagryzając każde kolejne słowo pierogami lub rybą. Rodzinna atmosfera, obfite zastawione stoły i dźwięk kolęd dochodzących z odbiornika telewizyjnego... Takie są święta.

U mnie to wyglądało troszkę inaczej. Ryba kojarzyła mi się tylko z ościami wyciąganymi z gardła, a kapusta z ogromnymi wzdęciami, które pierwotnie przyjmowaliśmy na SOR jako podejrzenie zapalenia wyrostka robaczkowego.

A to tylko gazy...

Założyłam rękawiczki i wkroczyłam do sali segregacji. Godzina 7:02, zwarta i gotowa na ten dzień.

– Wesółych Świąt – powiedziałam uprzejmie do pielęgniarki, która poprawiała kropłówkę starszej pani wyglądającej, jakby po prostu przyszła się tu przespać. Wiele osób szukało schronienia w szpitalu w okresie świątecznym, a niektórzy byli zaciągani tu siłą lub podstępem. To zjawisko nosiło nazwę „babki świątecznej” – rodzina głęboko poruszona stanem zdrowia pacjenta robiła wszystko, żeby babcia lub dziadek znaleźli się na oddziale przed świętami, a byli wypuszczeni najlepiej po sylwestrze. Najpierw jednak należało taką „babkę” odpowiednio przygotować – najlepiej odwodnić, nie podając płynów kilka dni albo „zapomnieć” o tym, żeby dostała leki.

– Święta, nie święta – odburknęła Wanda, nawet na mnie nie patrząc. Była to pielęgniarka z trzydziestoletnim stażem. – Dzień jak co dzień, a nawet gorzej.

Trafiła mi się wyjątkowa maruda na zmianie, więc wiedziałam, że sobie nie pogadamy. Pracowałam na SOR-ze od czterech lat i nigdy nie zamieniłam z tą kobietą więcej niż dwóch zdań. Była opryskliwa i złośliwa, wiedziałam, że te zachowania wynikają z jej wypalenia zawodowego, o którym rzekomo mówiła już od ponad dwudziestu lat. Nigdy nie zmieniła pracy, ale swoją niechęć manifestowała głośno i wrednie, co odbijało się na pacjentach i personelu.

Mimo że przytrafił mi się dyżur w Wigilię, już trzeci z rzędu, nie czułam złości, ani nie kombinowałam, żeby się z kimś zamienić. Zresztą, nawet nie miałabym z kim, bo nikt nie chciał dyżurować w ten świąteczny czas. Ja lubiłam święta, ale będąc w szpitalu mogłam je obchodzić w inny sposób – pomagając i towarzysząc ludziom, którzy naprawdę potrzebowali pomocy. Westchnęłam i poprawiłam kitel, a potem zaczęłam przeglądać zgłoszenia pacjentów. Większość miała kolor zielony, czyli stan niezagrażający życiu. Jeden poważniejszy przypadek był już zaopatrywany w gabinecie zabiegowym – zmasakrowane palce maszynką do mięsa. Kobieta tak się spieszyła, żeby zmielić grzyby, że wystarczyła chwila nieuwagi, aby jej dwa opuszki palców i świeżo zrobione paznokcie pokryte hybrydą zostały zjedzone przez robota kuchennego.

Nie ma ani manicure, ani pierogów. Zostanie zabandażowana dłoń, niezdolna do wykonywania dalszych świątecznych przygotowań. Może mąż ruszy się do roboty, zamiast czekać aż żona zorganizuje kolację i całe święta. Kobieta musiała gotować już od piątej rano, skoro tak wcześnie trafiła na SOR. Widocznie była zaspana i to wystarczyło, aby stała się mniej uważna.

Wróciłam do zgłoszeń. Bóle brzucha, mdłości, kołatanie serca, ból głowy, ból pleców, skręcenie kostki... Łatwizna. Ani jednego stanu zagrożenia życia. Z jednej strony to bardzo dobrze, z drugiej zaś czułabym, że moja obecność tutaj, w tak szczególnym dla większości osób dniu, miałyby jakieś znaczenie.

– Byde rzygoł – rzucił pacjent i tylko refleks jednej z pielęgniarek sprawił, że wycelował do nerki, którą mu podsunęła. W innym przypadku zapaskudziłby całą podłogę.

– Od jakiego czasu pan wymiotuje? – zapytałam.

– Od wczoraj po tym jak najadłem się śledzi, ciasta śliwkowego i poprawiłem kapustą z grochem. Musiałem spróbować wszystkiego, co przygotowała moja żona. Najpierw mnie pędziło do łazienki, a teraz to.

Uśmiechnęłam się ze zrozumieniem, mimo że nie było go we mnie wcale. Sami przykładaliśmy rękę do tego, jak się czuliśmy. Wystarczyłby umiar i pacjent nie siedziałby teraz w szpitalu tylko z rodziną w domu. Wypuścimy go za kilka godzin, więc zdąży na kolację, ale byłam pewna, że nie tknie nic ze świątecznego stołu.

– Pani doktor, właśnie jakaś baba zgłosiła się do rejestracji, bo brakło jej pasków do glukometru, a nie ma zamiaru przepłacać w aptece i chce receptę – oznajmiła Mariolka, pielęgniarka zabiegowa, która właśnie skończyła zszywać rozharatane opuszki palców. – Dziewczyny się pytały, czy w ogóle panią fatygować.

– To żart? – mruknęłam. – Lekarze rodzinni dyżurują do czternastej.

– Jej rodzinny podobno ma wolne.

Przez takie przypadki osoby, które naprawdę potrzebowały pomocy, mogły zostać odesłane, albo musiały czekać dłużej, bo trzeba było wypisać receptę na paski do glukometru.

– To nie przypadek na SOR – powiedziałam i pokręciłam głowę z dezaprobata. – Ludzie nigdy się nie uczą?

– Przyjmijcie ją. Posiedzi z cztery godziny, to może zmądrzeje – rzuciła Wanda. Musiałam się z nią zgodzić. Mała nauczka powinna dobrze zrobić pacjentce, może nauczy ją do czego służy szpitalny oddział ratunkowy. – Przy dobrym wietrze czas oczekiwania zwiększy się do dziesięciu.

– Słyszałam, że się awanturowała przy okienku, że to tylko recepta – dodała Marylka.

– Tym bardziej ją przyjmijcie. Będzie wesoło – podsumowała Wanda, nie przerywając podkuwania pacjenta.

Po raz pierwszy miałam ochotę jej podać rękę. Czułam, że się zaprzyjaźnimy.

Czekał mnie dwudziestoczerogodzinny dyżur w szpitalu.

I, jak się miało okazać, najtrudniejszy w całej mojej dotychczasowej karierze zawodowej.